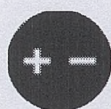


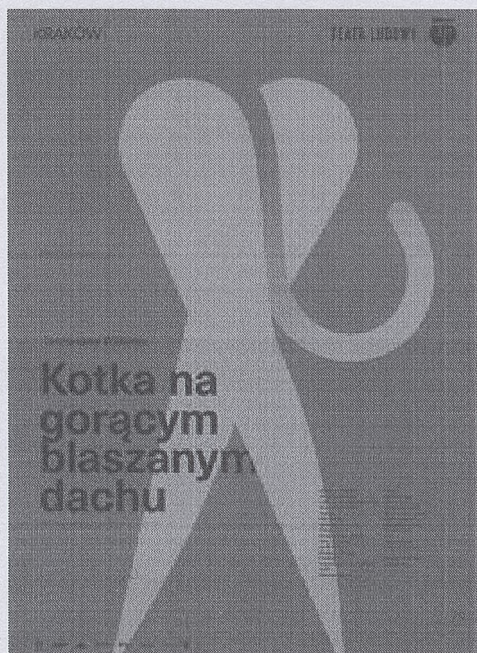
TEATR DLA WAS

- [Strefa teatru](#)
- [Publicystyka](#)
- [Strefa aktora](#)
- [Repertuary](#)
- [Patronaty](#)

-
-
-
-



Recenzje



13/06/17

Poniedziałka in-your-face-theatre?

Kotka na gorącym, blaszanym dachu Teatr Ludowy - Duża Scena Kraków **Reżyseria:** Jacek Poniedziałek **Obsada:** Łukasz Przytarski, Patryk Palusiński, Wojciech Lato, Mirosława Żak, Kajetan Wolniewicz, Iwona Sitkowska, Beata Schimscheiner, Jan Nosal, Tomasz Bazan
Premiera: 06/05/2017 **Najbliższy spektakl:** 17/06

W „Kotce na gorącym, blaszanym dachu”, wyreżyserowanej przez Jacka Poniedziałka, podobnie jak w całej twórczości Tennessee Williamsa, dominują postacie skonfliktowane z otoczeniem, rozczarowane życiem, pogrążone w nerwicach, depresjach i dekadencji. Niespełnione ambicje i wspomnienia o lepszej niż chwila obecna przeszłości nie pozwalają na jakąkolwiek nadzieję na przyszłość. Załamania psychiczne, nałogi i obsesje seksualne stają się ich codziennością. Rodzina, zamiast dawać oparcie, pogrąża bohaterów coraz bardziej.

Duszy dzień na południu Missisipi zapowiada nieuchronną burzę. To jednocześnie dzień urodzin majątnego Wielkiego Taty (Kajetan Wolniewicz) oraz niepowtarzalna okazja do tego, by wszystkie rodzinne konflikty osiągnęły apogeum, a intymne sekrety ujrzały światło dzienne. Choć w rodzinie, w której każdy każdego podsłuchuje pod drzwiami, trudno jeszcze o jakąś tajemnicę. Nieuleczalna choroba, z którą zmagają się ojciec i świadomość nieuchronnej śmierci, stają się osią dramatu oraz pretekstem do ujawnienia prawdziwych intencji bohaterów. Syn Cooper (Patryk Palusiński) wraz z żoną Mae (Mirosława Żak) widzą w tej sytuacji szansę odziedziczenia wielkiego majątku, a jego brat Brick (Wojciech Lato) nie widzi już nic, oprócz butelki whisky i bezpowrotnie utraconej przeszłości. Gardzi swoją żoną Maggi (Iwona Sitkowska), która jako tytułowa kotka, czeka na najmniejszy gest czułości. On ma swoją tajemnicę, która go niszczy i nie pozwala na inne uczucia niż żal i rozgoryczenie. Ona desperacko dąży do tego, by poczuć się potrzebną i kochaną. Jej starania spotykają się jednak z brutalną odmową męża, którego życie zatrzymało się w momencie śmierci przyjaciela, Skippera.

To właśnie Skipper pojawia się w spektaklu jako pierwszy. Przedstawienie inicjuje kilkuminutowa choreografia, podczas której Skipper (Tomasz Bazan) wchodzi w stroju zawodnika rugby i powoli zaczyna się rozbierać. To manifest przeszłości, od której Brick nie będzie mógł się uwolnić i która rzuca cień na teraźniejszość. W przenośni i dosłownie. Scena jest pogrążona w mroku, a białe smugi światła padają na zawodnika, który zrzuca z siebie sportowy strój i stopniowo ukazuje atletyczne ciało. Jednocześnie uwalnia się od pozorów i konwenansów, które nie pozwoliły jemu i Brick’owi na szczere i wolne uczucie. Liryczne preludium, choć trwające tylko chwilę, wyraźnie kontrastuje z opresją rodzinnych relacji, która zdominuje kolejne wydarzenia.

W dramacie Williamsa (przetłumaczonym przez samego reżysera) jest wszystko, co niezbędne do stworzenia przejmującego spektaklu: ekspresja, emocje, skomplikowane psychologicznie postaci i intensywne dialogi, ujawniające brutalność międzyludzkich związków. Jednak w adaptacji Poniedziałka werbalnej agresji jest zbyt wiele. Rozmowy bohaterów doprowadzone do maksimum wulgarności i kolokwializmu sprawiają, że kolejne „ty stara dupo!” rzucone przez Wielkiego Tatę w kierunku zatroskanej o niego żony (Beata Schimscheiner), zamiast szokować, wywołuje uśmiech na twarzach widzów. Nowy brutalizm językowy Poniedziałka (swoją drogą, zapewne wzorowany na Sarah Kane i innych przedstawicielach nurtu) jest za mocny. Choć trop wydaje się zasadny. Podobnie jak u brutalistów, relacje między bohaterami są tutaj oparte albo na seksie, albo na przemocy. Albo na jednym i drugim. Jednak usilne dążenie do oddania języka naszego „podwórka” oddaliło spektakl od realności rodzinnych patologii, wpadając momentami w ton groteskowy. W trwającym nieco ponad godzinę spektaklu intensywność formy nieproporcjonalnie przerasta treść. Brakuje ciszy, która czasem przytłacza bardziej, niż potok najprymitywniejszych słów.

autor tekstu: Katarzyna Szatko

Kotka na lodowatym blaszanym dachu (Kotka na gorącym blaszanym dachu)

redakcja / 29 maja 2017 / [Leave a comment](#) / [Agnieszka Dziedzic, recenzje](#)

Kotka na gorącym blaszanym dachu w reżyserii powracającego do rodzinnego Krakowa Jacka Poniedziałka z dusznej atmosfery amerykańskiej plantacji na Południu przeniesiona zostaje w bliżej nieokreśloną przestrzeń. Lodowatą i pełną wyrachowania, czyli chyba naszą współczesność.

Trzeba podkreślić, że Poniedziałek występuje tu w podwójnej roli – jako reżyser i autor przekładu dramatu Williamsa. Jako tłumacz (a zarazem także aktor i człowiek teatru) ma jeden cel i konsekwentnie go realizuje – oczyszcza język sztuki z papierowego szelestu. W scenach, gdzie emocje sięgają zenitu postacie nie przebiegają w słowach, a siarczyste przekleństwa padają niczym serie z karabinu. Język wyzwala się z wszelkich konwenansów, obnaża prawdziwe myśli i intencje bohaterów, ale to zarazem język brutalny, zadający głębokie rany. Tłumaczenie Poniedziałka może się podobać lub nie, jednak trudno odmówić mu sceniczności.

Spektakl otwiera bardzo zmysłowa scena tańca zawodnika futbolu amerykańskiego (Tomasz Bazan). Z początku prezentuje się jako wysportowany, umięśniony mężczyzna bez wad, ale w miarę rozbierania się z kostiumu sportowego odsłaniają się kolejne partie jego ciała, a on sam kuli się, jakby próbował się ochronić przed niespodziewanym ciosem. Wokół unosi się mgła z talku, który strzepuje z rąk. Sekwencje zamyka nagły upadek jajowatej piłki futbolowej u stóp gracza. Chłopak znika. Albo umiera – jeśli chcemy nawiązać do fabuły sztuki i pod postać anonimowego tańczącego podstawić Skippera – nieżyjącego już, najlepszego przyjaciela Bricka Pollitta. A może i jego kochanka.

Ten wysmakowany wizualnie taniec to rodzaj prologu do historii o rodzinie Pollittów, w której każdy bez wyjątku – niczym zawodnik-tancerz – pod pancerzem pozorów skrywa strach, osamotnienie i słabość. W przedstawieniu na deskach Teatru Ludowego cielesność i wszystko, co związane z fizyczną powłoką determinuje los postaci. Maggie Pollitt to zmysłowa kotka, dusi się wręcz, kiedy mąż, Brick, odmawia jej najpierw seksu, a z czasem jakiegokolwiek bliskości. Mae Pollitt (bratowa Bricka) – przeciwieństwo Maggie – potwór płodności z gromadką dzieci o psich imionach i kolejnym w brzuchu. Dużego Tatę (ojciec Bricka) – miliardera, któremu dotąd zdawało się, że może wszystko – określa teraz jedno krótkie i złe słowo: rak. Jego organizmowi za chwilę minie data ważności, a dodatkowych dni nie dokupi za żadne pieniądze.

Sztuka Williamsa daje duże możliwości do stworzenia niezapomnianych kreacji aktorskich, co niewątpliwie wykorzystał Kajetan Wolniewicz jako

Duży Tata. Wolniewicz gra człowieka, który dostał od losu drugą szansę i odtąd nie chce już korzystać z półśrodków. Prawda albo nic. Bezwzględny w wyrażaniu swojego zdania, chwilami wyłazi z niego najgorszy cham, ale przez to jego postać jest tak boleśnie szczerą. Szkoda tylko, że nie wie o kłamstwie lekarzy...

Brick Pollit Wojciecha Lato to chodząca bryła lodu. A raczej – bryła lodu sącząca bez przerwy whisky. Trudna, wymagająca ogromnego skupienia rola, którą Lato szczęśliwie udźwignął. Iwona Sitkowska jako Maggie świetnie wypada natomiast we wszystkich tych sekwencjach, w których trzeba wykazać się *sex appealem*. Gorzej kiedy przechodzi do histerycznych wybuchów. Traci wtedy cały urok, staje się nieautentyczna, chwilami wręcz drewniana, choć przecież dwoi się i troi.

Zredukowana do minimum scenografia Michała Korchowca jeszcze bardziej wydobywa samotność bohaterów. Scenograf definitywnie rezygnuje ze wszelkich symboli luksusu i bogactwa rezydencji Pollittów, odzierając postaci z obecności rzeczy, pozostawia ich w klatce własnych ciał i obsesji. Korchowiec decyduje się także na zaciemnione wnętrza, właściwie pozbawione jakichkolwiek elementów indywidualizujących przestrzeń. W centralnym miejscu sceny stoi nowoczesna kanapa. Estetyczna, ale zupełnie bez wyrazu. Brakuje natomiast łóżka, co wprost odnosi się do frustracji seksualnych Maggie i Bricka. Pojawiają się za to ciemne, sięgające ziemi zasłony na okrągłych obręczach, które oznaczają kolejne pokoje rezydencji. Ale półprzezroczysty materiał zamiast ścian sugeruje, że w tym domu niczego nie da się ukryć.

Finał pozostawia nas z pewnym niedosytem. Winę (jeśli o winie można tu mówić) za to ponosi częściowo metaforyczny i zarazem czytelny w przekazie początek spektaklu, o którym było już wcześniej. Po takim otwarciu gdzieś podświadomie liczy się na więcej. Tymczasem zakończenie krakowskiej *Kotki...* pozostaje z jednej strony otwarte i pozwala widzowi dopowiedzieć, co mogłoby się zdarzyć po ucichnięciu ostatnich braw, ale z drugiej – reżyser pozostawia jedynie cieniutki margines nadziei. Może i tak lepiej. Może to także jego odreżyserska deklaracja opowiedzenia się po stronie prawdy. Choćby tej brutalnej i bez *happy endu*.

Internetowy Magazyn „Teatralia”, numer 202/2017

Tennessee Williams

Kotka na gorącym blaszanym dachu

Teatr Ludowy w Krakowie

reżyseria: Jacek Poniedziałek

tłumaczenie: Jacek Poniedziałek

scenografia: Michał Korchowiec

choreografia: Tomasz Bazan

multimedia: Grzegorz Kaliszuk

inspicjent: Anita Wilczak – Leszczyńska

sufler: Martyna Rezner

obsada: Wojciech Lato (gościnnie), Patryk Palusiński (gościnnie), Jan Nosal, Beata Schimscheiner, Iwona Sitkowska, Kajetan Wolniewicz, Mirosława Żak (gościnnie), Tomasz Bazan (gościnnie)

premiera: 6 maja 2017

<http://www.teatralia.com.pl/kotka-na-lodowatym-blaszanym-dachu-kotka-na-goracym-blaszanym-dachu/>

Rodzina rozgrzana do czerwoności

"Kotka na gorącym blaszanym dachu" - reż. Jacek Poniedziałek - Teatr Ludowy w Krakowie

Z rodziną mamy (przynajmniej teoretycznie) najbliższe relacje. Miłość do rodzeństwa czy rodziców jest niejako naturalna, jednak wzorce, które mamy w domu często odbiegają od ideału. Przekłada się to na związki, które później tworzymy sami, często powtarzając (nawet nieświadomie) znane, choć niekoniecznie dobre schematy. O takiej rodzinie nieidealnej opowiada najnowsza realizacja Teatru Ludowego: „Kotka na gorącym blaszanym dachu”, wyreżyserowana przez Jacka Poniedziałka.

Spektakl zaczyna się liryczną, niemą sceną, w której zawodnik rugby wchodzi w smugę białego światła. Z góry spada mu pod nogi piłka, a on rozpoczyna delikatny, niemal baletowy taniec wokół niej. Hipnotyzujące, miękkie ruchy aktora prowadzą do powolnego zdjęcia z siebie stroju rugbysty – ostatecznie staje przed nimi prawie nagi mężczyzna. Symboliczna scena robi niezwykle wrażenie.

Następnie scena rozświecła się i widzimy, że scenografię tworzą koliste karnisze, które podtrzymują szare, zwiewne zasłony. Na ich tle pojawia się kobieta i przywozi ze sobą wieszak z zestawem ubrań. Maggie przebiera się, rozmawiając jednocześnie z mężem, który dzięki obrotowej scenie wjeżdża, rozłożony na kanapie. Maggie pragnie bliskości, kulawy w wyniku kontuzji i zamknięty w sobie Brick ucieka w alkohol. Powietrze zaczyna pachnieć patologią.

W spektaklu zwraca uwagę dopracowanie go w szczegółach – zarówno jeśli chodzi o kostiumy, jak i scenografię czy muzykę: wszystko doskonale ze sobą współgra. Nie ma tu niepotrzebnych scen czy zbędnych elementów. Jednak w tej czystej, estetycznej przestrzeni jest dużo miejsca, ukrytego za półprzepuszczalnymi zasłonami charakterów. Tylko Brick wie, jak ważny był dla niego nieżyjący przyjaciel Skipper; Dużemu Tacie jest wstyd, że nie potrafi dotrzeć do syna, a Maggie kocha człowieka, który jawnie jej nienawidzi. Nie ma tu prostych rozwiązań ani prostych odpowiedzi, a wielu rzeczy możemy się tylko domyślać.

Ciekawym zabiegiem jest to, że spektakl zaczyna się na scenie, ale akcja dzieje się również wśród widzów. Aktorzy wychodzą właściwie ze wszystkich stron, przechodząc między fotelami widzów. Tylko rodzinne, intymne rozmowy odbywają się na scenie – impreza urodzinowa Dużego Taty (świetny Kajetan Wolniewicz) dzieje się gdzieś w przestrzeni wspólnej widzom i aktorom. Jednak ojciec Bricka wcale nie zamierza być uprzejmy i grzecznie świętować. Nie przebierając w słowach wyrzuca z siebie pretensje do rodziny, która uznała go za zmarłego ze względu na widmo choroby.

Atmosfera gęstnieje, zapada noc. Pusta scena zalana jest bezgłośnymi wizualizacjami fajerwerków jako zwieńczenia dnia urodzin Dużego Taty. W tym czasie niemal niepostrzeżenie zmieniona jest scenografia. Znikają szare zasłony, a koliste karnisze powoli ładują na scenie. Na jasnoróżowym horyzoncie widzimy konstrukcję odchyloną prostokąta. Na tym tle odbywa się ostatnia rozmowa w rodzinnym gronie. Ze sceny wyziewa ostateczny dramat, niemoc i groteska.

W końcowym fragmencie scenografia może sugerować, że wszyscy (nie tylko niezaspokojona Maggie) siedzą na tytułowym gorącym blaszanym dachu. Wyczuwa się nerwowość, szczególnie ze strony brata Bricka i jego żony. W powietrzu wisi spisek ze strony Coopera – Matka jednak zszokowana informacją o prawdziwym stanie zdrowia męża nie chce słyszeć o żadnych pochopnych działaniach. Sytuacja jest skrajnie patowa i taka już pozostanie. Rodzina jawi się teraz jako stado hien, które tylko czeka na pieniądze. Podpity Brick, zdesperowany Cooper z żoną, zrozpaczona Matka oraz próbująca ratować sytuację Maggie – cała grupa świetnie zarysowanych, groteskowych postaci, która nie może poradzić sobie z tym, co dzieje się wokół nich i co właściwie powinno ich do siebie zbliżyć.

Największym rozczarowaniem tego spektaklu jest to, że... trwa tak krótko. Niewiele ponad godzinny spektakl zawiera mnóstwo emocji, którym dajemy się ponieść. Jesteśmy jednocześnie rozbawieni, jak i zmieszani, bo nawet w nieprzyjemnych momentach jest tu miejsce na humor. Historia urywa się nagle i pozostawia nas z poważnym niedomówieniem. W momencie, w którym cali jesteśmy już w skomplikowanym świecie, nękanym dramatami rodziny, musimy wrócić do naszego normalnego życia. Natomiast Jacek Poniedziałek w swej realizacji „Kotki na gorącym blaszanym dachu” sprawia, że będziemy mieć o czym myśleć nie tylko tego wieczoru. Spektakl prowadzi nas do refleksji na temat roli drugiego człowieka w naszym życiu. Płatania się w osobiste układy, które prowadzą nas do szaleństwa lub śmierci. Pyta też o cel założenia rodziny – czy duża ilość dzieci ma być gwarantem dostatniego życia i odziedziczenia rodzinnego majątku? Gdzie w tym wszystkim jest miejsce na prawdziwe emocje?

Joanna Marcinkowska

Dziennik Teatralny Kraków

10 maja 2017

Spektakle

"Kotka na gorącym blaszanym dachu" - reż. Jacek Poniedziałek - Teatr Ludowy w Krakowie

Teatry

Teatr Ludowy w Krakowie

Portrety

Jacek Poniedziałek

Ostatnia rodzina

Rozgrzany dach, blacha falista, jest gorąco. Spektakl Jacka Poniedziałka rozpoczyna wspaniała taneczna uwertura w wykonaniu Tomasza Bazana (zamiennie z Łukaszem Przytarskim). Profil mężczyzny - sportowca. Synonim męskości, stopniowo zdzierający z siebie tę męskość, zasypujący ją talkiem, zginający się w pół. Tancerz odrywa stopy, unosi głowę do góry, zanika. Skipper umiera.

Reżyserski powrót Jacka Poniedziałka do Krakowa ma szczególne znaczenie. To nie tylko jedna z najlepszych sztuk Williamsa, której nowe tłumaczenie Poniedziałka dało w polskich teatrach nowe życie i drugą młodość, ale także opowieść znakomicie metaforyzująca wszystkie współczesne lęki przenikania się ze sobą sfery pragnienia i popędów, ambicji i pożądań ukrywanych w ramach ciągle obowiązującego społecznego konwenansu.

Wiemy tylko tyle, że to będzie ostatnie już takie rodzinne święto, ostatnia, przedśmiertna stypa. Maggie, tytułowa kotka (Iwona Sitkowska), jak zawsze żebrze o cień miłości Bricka, wyniosłego, małowównego introwertycznego męża przystojniaka (Wojciech Lato), zapijającego każdą kolejną minutę względnej świadomości, wyczekującego momentu kompletnego zatracenia - jak mówi "kliku" w mózgu, po którym nie ma już niczego, tylko mrok.

Na przecięciu tej pary znajduje się brat Bricka - Cooper (bardzo dobry Patryk Palusiński) i jego żona, intrygantka i denuncjatorka, "wiecznie w ciąży" - Mae (Mirosława Żak): para jak z żurnala, kwintesencja obiegowych prawd, szczęścia na zamówienie, z na trwałe przyklejonym sztucznym uśmiechem maskujących zakłamanie i rosnący niesmak w ustach. Rozdającymi karty wydają się jednak rodzice - Duży Tata (Kajetan Wolniewicz) i Duża Mama (świetna Beata Schimscheiner). To przypuszczalnie ostatnie urodziny Dużego Taty, umierającego na raka chamowatego, impertynenckiego, ojca-miliardera. Duży Tata czuje tylko wstręt. Nienawidzi żony i rodzinki, tych wszystkich mizdrzących się do niego ludzi, być może kocha tylko Bricka, ale Brick jest martwy. Martwy za życia. Znieczuła się alkoholem, z rzadka cedzi jakieś zdanie, nie widzi poświęcenia żony, nie zauważa nadchodzącej rodzinnej katastrofy. Nie potrafi powiedzieć: "Tak, jestem gejem; tak, małżeństwo z Maggie nie miało żadnego sensu", udaje za to homofoba, pograżając się jeszcze bardziej, tymczasem po śmierci Skippera, przyjaciela i kochanka, nie potrafi już nic. Jak tamten chce się tylko zapić. Usłyszeć ostatni "klik" i zniknąć.

Jacek Poniedziałek daje aktorom szansę na wybrzmienie tekstu Williamsa, jednego z najważniejszych w światowej dramaturgii, czując, że nie wolno neutralizować go nadmiarem konceptów inscenizatorskich. Tutaj słowo jest atrakcyjne, słowo staje się siłą napędową. Rodzina Pollittów usytuowana w wyabstrahowanej, ciemnej przestrzeni, zaprojektowanej trafnie przez Michała Korchowca, kolejno zanika za tytułowymi kotarami. Owo znikanie to właśnie tytułowy rozgrzany dach. Zapadanie się w siebie: z gorąca lub z zimna. Choroba Bricka jest przecież zaraźliwa. Na tę samą niemoc choruje Maggie, prężąca się do seksualnego spełnienia, ale w zamian otrzymująca jedynie głuche milczenie, Duża Mama - wciąż pełna wigoru, nonszalancka i pewna siebie, ale w gruncie rzeczy tak samo, jak jej rodzina, przerażona życiem po śmierci męża, ale i życiem i razem z nim. Identyczna przypadłość "zanikania" drażni nawet prostytutką Mae, wyfiokowaną lampucę w zaawansowanej ciąży trzymającą się za brzuch, ledwo chodzącą, ale nadal sączącą jad, tyle tylko, że

poza tym jadem, nie ma już w niej niczego: ani miłości do męża, ani przywiązania do dzieci, tylko zgorzknienie i niepokój. O to, co wydarzy się dzisiaj i jak wytrzymać jutro.

Nowohucki spektakl jest zwarty, zdyscyplinowany. Jacek Poniedziałek (przypominam - również autor przekładu) skrócił nieco dramat(gr. drama), rodzaj literacki (obok epiki i liryki), obejmując... Williamsa, uwspółcześnił go jeszcze bardziej - a chociaż uważam, że niektóre mocno slangowe partie dialogów są przesadzone i brzmią niewiarygodnie, a samo przedstawienie jest trochę zbyt krótkie i w zasadzie pozbawione finału, całość przyjąłem z satysfakcją. To mocno aktorski spektakl oparty na doskonałym tekście, jakich niewiele można zobaczyć w Krakowie. Debiutujący w roli Bricka Wojciech Lato, jeszcze student Wydziału Aktorskiego Szkoły Filmowej w Łodzi, ma wszelkie dane, żeby stać się ważnym nazwiskiem w polskim teatrze czy kinie. Męski, zdecydowany, ale zarazem dziwnie odrębny, nieprzystający do rzeczywistości, somnambuliczny. Iwona Sitkowska jako Meggie w końcu dostała rolę w której mogła zademonstrować zarówno wdzięk, jak i dramatyzm. Być może w premierowym spektaklu oboje aktorów zjadła trochę trema, nie mam jednak żadnych wątpliwości, że wybór Poniedziałka był słuszny i trafiony. Największe wrażenie zrobiła na mnie jednak kreacja Kajetana Wolniewicza w roli Dużego Taty. Rozmowa ojca z synem: Dużego Taty z Brickiem, to najwspanialszy moment przedstawienia. Uczuciowy szantaż, wymuszanie energii przez umierającego człowieka od syna który postanowił zapaść się w sobie. Wolniewicz, od lat jedno z najważniejszych nazwisk teatralnego Krakowa, jest wiarygodny jako rodzinny satrapa, lubieżny, wulgarny satyr, ale i czuły rodzic, autentycznie zaniepokojony losem zatracającego się dziecka. A może po prostu dostrzegający w Bricku własne odbicie. Lustro tego, kim chciałby być, gdyby się odważył. Problem tej dwójki, problem całej rodziny Pollittów, i wszystkich rodzin - w Nowej Hucie i gdziekolwiek indziej, polega jednak na tym, że tego nie potrafimy. Nie umiemy nazywać rzeczy po imieniu. Nie chodzi o wykrzykniki: kocham, lubię, nienawidzę, tylko o nazwanie uczucia lub jego braku. A od tego trzeba by zacząć. Nie zaczynamy.

Łukasz Maciejewski

www.aict.art.pl

9 maja 2017

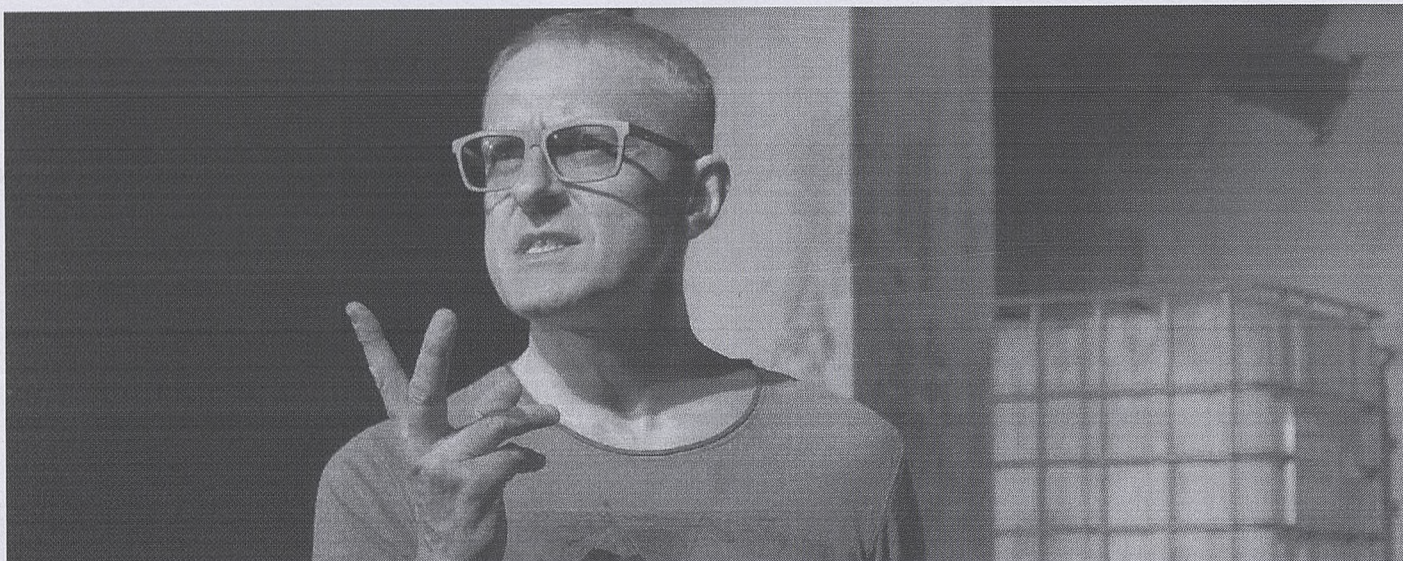
Spektakle

Kotka na gorącym blaszanym dachu

Teatry

Teatr Ludowy w Krakowie

TEATR



Jacek Poniedziałek tym razem w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie reżyseruje „Kotkę na gorącym blaszanym dachu” Tennessee Williamsa i chce opowiadać o „dramacie umęczonego ciała”

**AŻ CZTERY NOWE SPEKTAKLE
W CIĄGU MIESIĄCA W TEATRZE
LUDOWYM – WŚRÓD NICH SPEKTAKL
REŻYSEROWANY PRZEZ JACKA
PONIEDZIAŁKA**
ŁUKASZ GAZUR

WCIAŻ GORĄCA KOTKA

Jest w czym wybierać – od klimatu bałkańskiego kotła po farsę, która „nie rości sobie pretensji do bycia czymś innym niż farsą”. Tak przedstawia się najbliższy miesiąc w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie, który organizuje swój „Festiwal premier”. Co ciekawe, wszystkie propozycje to sztuki niewystawiane dotąd w Krakowie. „Beczka prochu” Dejana Dukovskiego w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej (premiera odbyła się 20 kwietnia na Scenie Stolarnia), „Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku” według prozy Doroty Masłowskiej w reżyserii Aleksandry Popławskiej (Scena Pod Ratuszem, premiera 28 kwietnia, godz. 19), „Kotka na gorącym blaszanym dachu” autorstwa Tennessee Williamsa w reżyserii Jacka Poniedziałka (6 maja, godz. 19, Duża Scena), „Akt równoległy” Dereka Benfielda w reżyserii Tadeusza Łomnickiego (Duża Scena, 28 maja, godz. 19). – Tak nam się ułożył harmonogram pracy, że premiery zbiegły się ze sobą. Uznaliśmy, że dobrym pomysłem przyciągającym uwagę widza będzie przyjęcie hasła „Festiwal premier” – mówi Małgorzata Bogajewska, dyrektorka Teatru Ludowego w Krakowie.

„Kotka na gorącym blaszanym dachu” autorstwa Tennessee Williamsa w reżyserii Jacka Poniedziałka jest z pewnością jedną z najbardziej oczekiwanych w najbliższym czasie premier teatralnych w Krakowie. Zresztą warto zaznaczyć, że reżyser jednocześnie jest autorem nowego tłumaczenia tej sztuki. – Dla mnie Williams jest jak Szekspir. Bo tak jak on diagnozuje ludzkie relacje, wnikliwie analizuje społeczne postawy, potrafi zajrzeć do wnętrza człowieka i zbadać stan jego emocji – tłumaczy Jacek Poniedziałek.

„Kotka...” Tennessee Williamsa to przede wszystkim portret rodziny we wnętrzu. Zakłamanej, buzującej od niedopowiedzeń i ukrywanych emocji. A wszystko dzieje się przy okazji urodzin patriarchy pewnego rodu, plantatora, miliardera. Na uroczystości w rodzinnym domu pojawiają się jego dwaj synowie wraz z żonami. Ale okazja to nie tylko powód do świętowania – bo choć nie wie o tym sam zainteresowany, to diagnoza śmiertelnej choroby brzmi jak wyrok. A wiedzą o tym jego synowie i ich żony. Nieubłagane – mimo wysiłków żony miliardera – do głosu dochodzą tłumione przez lata emocje. Stąd już tylko krok do wybuchu awantury.

Starszy syn, który przez rodziców jest traktowany jak pomocnik i robotnik na ich usługach, wraz z żoną, matką pięciorga dzieci, całe życie poświęcił realizowaniu wizji życia, której od niego oczekiwano. Młodszy syn, uwielbiany przez rodziców, wpada w przepaść alkoholizmu, przez co rujnuje obiecującą karierę sportową. Przy okazji oplakuje śmierć „przyjaciela”, który okazuje się miłością jego życia. Przy okazji zmagają się ze swoją tożsamością seksualną. Jego żona, sfrustrowana emocjonalnie i seksualnie, samotna i bezdzietna, walczy o szczęście i o męża, z którym spędziła życie, o swoje miejsce w rodzinnej konstelacji, wreszcie o majątek.

– Chcę zrobić spektakl o tym, o czym naprawdę jest ta sztuka. A jest o zakłamaniu. Ale nie o mówieniu kłamstw, ale o trudności i nieumiejętności stanięcia w prawdzie na swój temat. Ludzie boją się pytać o zdanie na swój temat, bo mogliby usłyszeć coś nieprzyjemnego. „Nie chcę już z tobą żyć” albo „śmiertelnie mnie nudzisz” – twierdzi Jacek Poniedziałek.

Dodaje, że dla niego ta sztuka to przede wszystkim rzecz o dramacie ciała, a właściwie kilku ciał, które „pragną, ale nie mogą doznać spełnienia, bo im się na to nie pozwala, społeczne konwencje tego zakazują”. Albo dramat starzejącego się ciała kobiety, z którego paruje atrakcyjność i które nie jest już traktowane jako obiekt pożądania mężczyzny.

– Dziś brzmi to szczególnie aktualnie, w dobie tak fizycznych i cielesnych treści krążących w internecie.

Wystarczy przejrzeć, co dzieje się na profilach na Facebooku i Instagramie. Widać to także w sztukach wizualnych. Ciało jest podstawowym narzędziem wielu artystów. Ciało czasem piękne, ciało czasem udręczone. Dziś już nie wypieramy jego istnienia i jego potrzeb. Nie zasłaniamy go, tak jak bywało w zeszłych epokach. Proszę zauważyć, ile lajków zbierają zdjęcia na Instagramie przedstawiające pejzaże albo widoki miast, a ile te ukazujące odsłonięte ciało. Wtedy nagle polubień są tysiące – tłumaczy Jacek Poniedziałek.

Reżyser dodaje też, że interesująca jest dla niego sama postać Williamsa. – Przecież on miał status celebryty, mimo że był autorem sztuk i scenariuszy, a nie gwiazdą filmu lub rocka. Był tak uwielbiany, że masowo ludzie garnęli się do niego i prosili o autografy czy możliwość zrobienia zdjęcia – dodaje Poniedziałek.

**MAŁGORZATA BOGAJEWSKA,
DYREKTORKA TEATRU LUDOWEGO
W KRAKOWIE**

BARDZO MNIE CIESZY, ŻE JACEK PONIEDZIAŁEK ZDECYDOWAŁ SIĘ NA ZREALIZOWANIE NA NASZEJ SCENIE „KOTKI NA GORĄCYM BLASZANYM DACHU” WILLIAMSZA. PRZED E WSZYSTKIM DLATEGO. ŻE JEST TO PIERWSE WYSTAWIENIE TEGO DRAMATU W KRAKOWIE. PO DRUGIE, WYSTAWIA GO OSOBA, KTÓRA PRZYGOTOWAŁA NOWE TŁUMACZENIA TEGO TEKSTU. PO TRZECIE, PONIEDZIAŁEK PO RAZ KOLEJNY JUŻ WYSTAWIA WILLIAMSZA. ZNA RYTM TYCH TEKSTÓW. POTRAFI ODCZYTYWAĆ JEGO INTENCJĘ, ZBUDDWAĆ CIEKAWIE INTERPRETACJE TEATRALNE. APRZECIEŻ WILLIAMS WCIAŻ JEST JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH DRAMATURGÓW AMERYKAŃSKICH DRUGIEJ POŁOWY XX WIEKU, KTÓRY BARDZO TRAFNIE OPISUJE CAŁE SPEKTRUM LUDZKICH EMOCJI. DLATEGO MIMO UPŁYWU LAT WCIAŻ ZDAJE SIĘ BYĆ CIEKAWYM AUTOREM DO OPRACOWYWANIA GO NA SCENIE.



ZA KULISAMI

Lukasz Gazur

Dramat niespełnienia

Pierwsza scena – chłopak w stroju amerykańskiego futbolisty. Wygląda jak duch, jakieś dalekie wspomnienie. Z tanecznym wdziękiem powtarza gesty z boiska, niczym jakieś magiczne rytuały. W pewnym momencie zaczyna zdejmować kolejne warstwy sportowego ubrania. Coraz szybciej, bardziej nerwowo, kompulsywnie. Jakby próbował złapać powietrze. Jakby zrzucił z siebie gorset męskości i kulturowych ograniczeń.

Tak zaczyna się spektakl „Kotka na rozgrzanym blaszanym dachu” według sztuki Tennessee Williamsa w reżyserii (i tłumaczeniu) Jacka Poniedziałka, zrealizowany

w Teatrze Ludowym w Krakowie. Znany polski aktor powraca do korzeni tekstu, wydobywając z niego to, co najważniejsze – cielesne niespełnienie, autoograniczenia narzucone przez wychowanie i zasady wyniesione z domu, brak odwagi do życia na własny rachunek, nawet za cenę społecznych konsekwencji. Oto w scenerii rodzinnej posiadłości plantatora-milionera (w tej roli Kajetan Wolniewicz) z amerykańskiej prowincji, odbywa się uroczystość seniora rodu. Ale każdy tu kogoś obserwuje, każdy coś ukrywa.

Brick (Wojciech Lato), któremu kontuzja złamała karierę futbolisty, popada w alkoholizm, oddalając się od żony i tonąc we wspomnieniach o swym przyjacielu, z którym łączyła go nieoczywista i niedopowiedziana relacja. Żona Bricka, Maggie (Iwona Sitkowska), walczy o jego uwagę – lecz bezsku-



„Kotka na rozgrzanym blaszanym dachu”, reż. Jacek Poniedziałek

tecznie. Jej seksapil i rozerotyzowane gesty nie nie dają. Te dwa ciała nie mogą się dopełnić, choć rozpaczliwie topią się w samotności. Pojawia się jeszcze brat, Gooper (Patrik Palusiński), ten rozsądniejszy, choć mniej przez rodziców kochany, z żoną Mae (Mirosława Żak) i kilkorgiem dzieci.

Jacek Poniedziałek, który tłumaczenie nie tylko uwspółcześnił, ale zdjął z niego kłódkę moralności, którą założył swoim filmem Elia Kazan (zgodnie z obowiązującym jeszcze w latach 50. w kinie amerykańskim kodeksem Haysa) pozwolił dojść do słowa intencjom autora tekstu. Ten bowiem chciał pokazywać, jak

bariery społeczne tłamszą potrzeby jednostki, jak rodzina i społeczeństwo wymuszają zachowania. I nie chodzi tu tylko o niespełnienie Bricka. To także traktowanie kobiet i ich powinności, prawo siły w patriarchalnym społeczeństwie. Tekst, który przez lata wydawał się już być echem czasów minionych, znów brzmi niezwykle aktualnie.

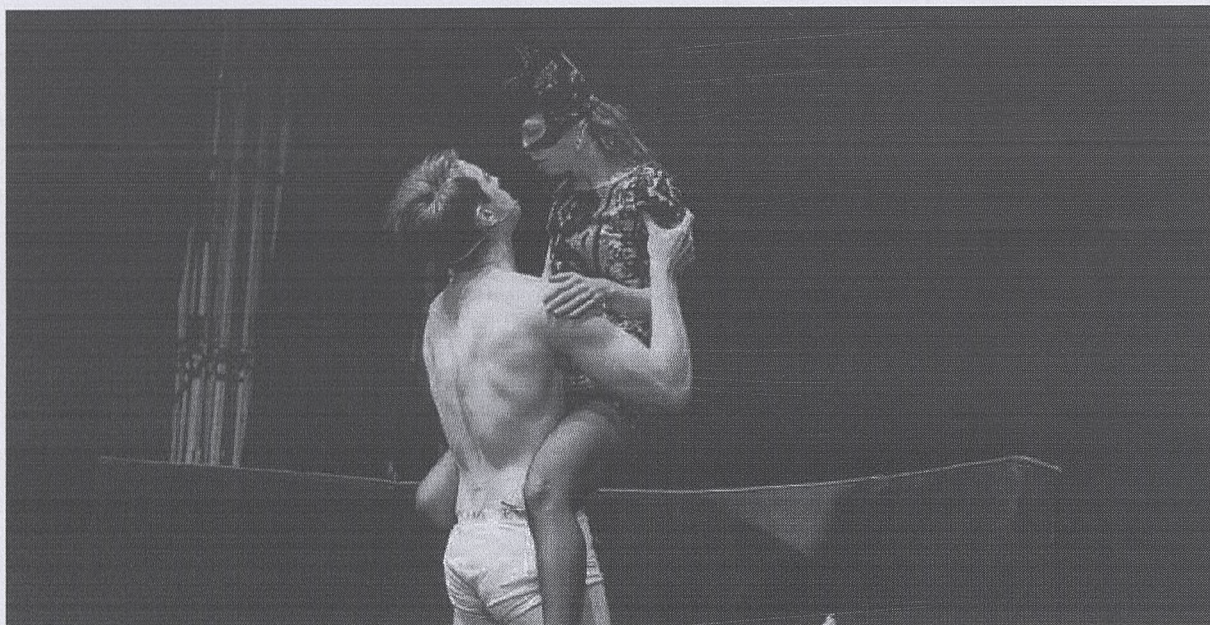
Pomysł na wykreowanie scenicznego świata z pomocą czarnych kurtyn (scenografia – Michał Korchowiec) wydaje się trafiony – buduje labirynty, w których miotają się bohaterowie, to znów składają się, by odsłonić przestrzeń, która staje się sceną dla emocji.

Na uwagę zasługują zdecydowanie trzy kreacje aktorek. Iwona Sitkowska wręcz skrojona jest do roli tytułowej kotki, czyli Maggie. Gra kobietę targaną namietnością, głodną spełnienia. Mirosława Żak z chłodem i wyniosłością kreuje postać przykładnej ame-

rykańskiej żony, która umiejętnie potrafi wbić bolesne słowne szpilki swojej szwagierce. Wreszcie matka – Beata Schimscheiner – jej życie upłynęło na wpatrywaniu się w męża, który żony nie szanuje, chronieniu potomstwa i udawaniu, że nie wszystko widzi i nie wszystko rozumie.

Męskie role niestety (może poza samym Brickiem) nieco mniej mnie przekonują. Za to we wspomnianej pierwszej scenie wręcz fenomenalnie odnajduje się Tomasz Bazan, jeden z najlepszych współczesnych polskich tancerzy i choreografów.

W pewnym momencie rodzinną uroczystość przenosi się pomiędzy widzów. Jakby wszyscy stali się uczestnikami urodzinowego przyjęcia. Atmosfera gęstnieje coraz bardziej. Granica sceny została zniesiona. I nie dziwne, skoro te problemy brzmią tak aktualnie w Polsce A.D. 2017. Prawda? ©©



Twórcą obecnej inscenizacji „Kotki na gorącym blaszanym dachu” jest aktor – Jacek Poniedziałek

Zakłamana rodzina

Brutalna wiwisekcja rodzicielskich oraz małżeńskich konfliktów

**Sobota, 6 maja,
godz. 19, Teatr Ludowy**

Intrygi, gra pozorów, jad sączący się niby przy okazji, ale w określonym celu, gęsty od namietności, pełen fałszu świat postaci „Kotki na gorącym blaszanym dachu” w reżyserii Jacka Poniedziałka zobaczymy podczas premiery w Teatrze Ludowym, prezentowanej w ramach „Festiwalu Premier”.

Zjazd rodziny Pollitów tylko z pozoru jest związany z urodzinami ojca, zwanego Wielkim Tatą. W istocie Wielki Tata, właściciel gigantycznej plantacji z południa USA, posiadający majątek wart kilkakaset milionów dolarów, znajduje się w ostatnim stadium raka. Wielki Tata wierzy w cudowną zmianę diagnozy. Nie

podejrzewa nawet, że oszukano go, by zaoszczędzić mu stresu i przygotować grunt do negocjacji na temat podziału majątku.

Jednak w sztuce Tennessee’go Williamsa rodzinne piekielko jest dużo bardziej złożone. Żona Bricka, Margaret, stanęłaby na głowie, by wzbudzić choć cień uczucia i zaangażowania w swoim mężu. Z kolei będąca w zaawansowanej, szóstej ciąży Mae, małżonka Coopera, to urodzona intrygantka i donosicielka. By zdobyć posiadłość teścia, nie cofnie się przed niczym.

Na drodze do upragnionego celu stoi jednak zarówno ojciec Bricka i Coopera, jak i teściowa, zwana Wielką Mamą, od 40 lat szaleńczo zakochana w Wielkim Tacie. Wielka Mama w imię miłości znosi każdą

obelgę ze strony męża i cierpliwie czeka aż spojrzy na nią łaskawszym okiem. Walka o majątek umierającego nestora rodu na pewno będzie bardzo wciągająca dla widzów.

W tym brudnym świecie prywatnych interesów na scenie zobaczymy: Wojciecha Lato, Patryka Pałusińskiego (obaj gościnnie), Beatę Schimscheiner, Iwonę Sitkowską, Kają Wolniewicz, Mirosława Żaka (gościnnie) i Tomasza Bazana. Autorem scenografii i kostiumów jest Michał Korkowiec, a muzyki – Marcin Janus.

Jacek Poniedziałek przetłumaczył na własny użytek na nowo pięć najważniejszych sztuk Tennessee’go Williamsa – i z jedną z nich wraca do rodzinnego miasta. ©©

Jolanta Ciosek

Pozostałości

Upodobał sobie Jacek Poniedziałek - reżyser - dramaty rodzinne Tennessee Williamsa. Sam je przełożył a teraz konsekwentnie wystawia. Lubi także Poniedziałek - reżyser - uwertury w swoich spektaklach. Początki, które zwiastują koniec zarazem. W "Kotce na gorącym blaszanym dachu" w Teatrze Ludowym w Krakowie, który nabiera nowego oddechu za sprawą dyrektorki Małgorzaty Bogajewskiej, dwukrotnie oddech się traci. Oddech robi się ciężki, ale i powoduje, iż ma się ochotę na więcej - pisze Sławomir Szczurek z Nowej Siły Krytycznej.



Reżyser serwuje powolne, pełne napięcia wyzbywanie się męskości przez Skippera. Staje przed nami ktoś, kto mocuje się z własnym wizerunkiem - przyszedł tu wprost z boiska sportowego, w kasku i ochraniaczach - z wyobrażeniem o silnym, barczystym i bezwzględnym wobec przeciwników sportowcu. W tej chwili "po" może już być w pełni sobą. Jest niemalże nagi, jak gdyby chciał pokazać kim jest naprawdę, wyzbyć się tego, co go ogranicza a zarazem szufladkuje. Pręży i napina mięśnie, jak gdyby chciał udowodnić męskość, sam siebie o niej przekonać i przy okazji innych. Za każdym razem, kiedy wydaje się już być temu bliski - pasuje. To tylko gra. Ale udawać nie może, nie potrafi, być może nie ma już na to nawet ochoty. Niepowodzenie w wykrzesaniu z siebie męskości i w przekonaniu żony przyjaciela, że się ją posiada, staje się powodem tragedii, która pociągnie za sobą kolejne dramaty.

Znamienna jest wymiana bohaterów. Po tanecznej uwerturze Skippera jego miejsce zajmuje Margaret (Iwona Sitkowska). Ona nie potrzebuje sobie nic udowadniać. Ma świadomość tego, jaka jest, swojej seksualności, ciała i ma to, co najważniejsze - powszechne przyzwolenie na bycie z mężem. Akceptacja środowiska to jednak za mało, by być szczęśliwą. Nie można osiągnąć pełni w sytuacji, gdy mąż woli opierać się na kulach, niż zaufać żonie, nie sypia z nią, a w opinii najbliższych "kobieta, która nie rodzi dzieci, traci czas". Jakież to upokorzenie dla kobiety błagać o jakikolwiek przejaw zainteresowania za strony męża. Zdaje się, że jest coś jeszcze bardziej upokarzającego. To widok kobiety, która musi walczyć o względy mężczyzny nie z inną kobietą, ale z innym mężczyzną.

Skippera dawno nie ma, ale pamięć o nim jest żywa. Brick (Wojciech Lato) robi wszystko, by skończyć jak on, czyli "wypić na tyle, żeby się uspokoić". Szansą na uspokojenie są urodziny Dużego Taty (rewelacyjny Kajetan Wolniewicz). To drugi po tanecznym popisie Skippera moment w spektaklu, kiedy wstrzymuje się oddech - rozmowa ojca z synem. Starcie pozornie dwóch różnych światów, nie tylko ze względu na wiek, ale i upodobania łóżkowe, staje się szansą na unormowanie relacji. Rozpoczyna się światopoglądowa rozmowa o pryncypiach. O tym, co w życiu jest ważne, co się zrobiło, co się osiągnęło, ale też o tym, czego się żałuje i czego się nie zrobiło, albo robiło wbrew własnej woli. To także prawdziwa walka jaką ojciec, niezależnie jakim gburem i chamem by nie był, stoczyć musi o dziecko, o to, by było szczęśliwe, żyło jak chce a nie tak, jak się od niego wymaga.

Duży Tata uspokaja członków rodziny, wielokrotnie powtarzając "cicho". Apeluje o chwilę rozmysłu, zatrzymanie się i wsłuchanie się w siebie na nowo. Dochodzi do strasznych wniosków, wytyka to każdemu. Cisza weryfikuje wszystko, a trudne sytuacje (choroba) nakazują odwrót od hipokryzji. Ojciec zwraca uwagę, że ludziom ciężko się rozmawia. Powszechne rozgadanie, paplanie, zagadywanie rzeczywistości jest domeną świń, bo to one ryczą, człowiek winien siedzieć cicho. Sam jednak tego nie robi. Wyciąga rękę do syna, nie jest mu obojętny jego los i fakt powolnego staczania się. Stara się dociec powodów tego. Zdaje się być także gotowy przyjąć prawdę o relacjach łączących niegdyś jego syna ze zmarłym przyjacielem. Oddech śmierci wywołał potrzebę rozliczenia się ze wszystkimi, wyrażenia niezadowolenia z życia. Z beznadziei codziennych sytuacji, z których nie wiemy jak się wyplątać, narastają w nas i prędzej czy później odezwą się, wrócą z uśpienia.

Brick nie jest gotowy na szczerą rozmowę, zarzuca ojcu, że zawsze kończy się to tym, że nie ma mu nic do powiedzenia. W "najładniejszych domach w całym mieście" życie nie wygląda tak kolorowo, jakby się mogło wydawać. Pełno w nich skrywanych żali, nieszczęść, zazdrości, kompleksów, a nade wszystko potrzeby bycia kochanym. Ta najbardziej emocjonująca z rozmów, w której ojciec oskarża syna o to, że wpędził do grobu przyjaciela, nie będąc gotowym na przyjęcie jego prawdy na temat ich relacji, układa spektakl. Sprowadza go do puenty, że żyjemy w systemie opartym na kłamstwie. Pół biedy jeśli oszukujemy innych, najgorzej gdy robimy to samym sobie. Tu każdy jest nieszczęśliwy, kogoś gra i chce coś ugrać dla siebie. Wyrzuty sumienia stają się przyczyną ataków na najbliższych, wstręt do siebie odbiera chęć życia i pozbawia jej także innych. Motorem zmian mogą być jedynie trudne chwile i nieszczęścia,

niestety najczęściej przychodzą zbyt późno, gdy jest już po wszystkim i nie można zrobić absolutnie nic. Dał nam Jacek Poniedziałek kolejną lekcję, jak nie być rodziną. Dlatego emocje związane z drugą rodziną, tymi, których dobieramy sobie jako przyjaciół (Brick i Skipper) są nieśmiertelne. Bo jak mówi pierwszy z nich: "przyjaźń polega na mówieniu prawdy".

Poniedziałek postawił na prawdę przekazu, redukując do minimum scenografię. Zwalniając przestrzeń, dał aktorom możliwość przedstawienia historii postaci, jak gdyby każda była jedyna i najważniejsza i miała prawo wybrzmieć bez wartościowania. W oczach Bricka widać tęsknotę za prawdziwą przyjaźnią, w przeciąganiu się Maggie - palący głód bliskości, w rozmowie pełnej dobrych rad - nieszczęście Dużego Taty, a w podszytej kłamstwem trosce Maei i Goopera - chęć odziedziczenia majątku. Wszyscy są tu podobni do swoich dzieci. Niczym kadłubki, których łebki i ciała nie mają żadnego łącznika, nie sposób ukreślić im kark, bo go nie mają. Nie pozostało zbyt wiele, tylko ości wiszące ponad widownią.

**

Tennessee Williams

"Kotka na gorącym blaszanym dachu"

przekład i reżyseria: Jacek Poniedziałek

premiera: 6 maja 2017, Teatr Ludowy w Krakowie, Duża Scena (obejrzany spektakl: 22 maja 2017)

występują: Beata Schimscheiner, Iwona Sitkowska, Mirosława Żak, Tomasz Bazan, Wojciech Lato, Jan Nosal, Patryk Palusiński, Kajetan Wolniewicz

*

Sławomir Szczurek - mieszka w Katowicach, z wykształcenia filolog polski (Uniwersytet Warszawski), wielki miłośnik teatru.

Sławomir Szczurek

Materiał własny

23-05-2017

e-teatr.pl - wortal teatru polskiego © Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego